

## ROZDZIAŁ

## PIERWSZY

– Wszyscy Cydończycy to złodzieje!

Słyszając te słowa, wypowiedane w gniewie przez jednego z kupców stojących w tłumie, Yisa poczuła się urażona. I to pomimo tego, że jej dłoń znajdowała się właśnie głęboko w kieszeni innego kupca, a palce zaciskały się na znalezionej tam sakiewce. Krzywdzący stereotyp, pomyślała.

– Co mnie dziś Cydończycy obchodzą? – odpowiedział ktoś. – Tarszyczycy już w Koryncie, a ten mi będzie o Cydończykach gadał.

– Nie Tarszyczek, a Cydończyk mnie oszukał, to i o Cydończykach mówię.

– Ach, cicho już bądź i patrz. Są!

Yisa, wsunąwszy pękata sakiewkę za koszulę, uznała, że też chętnie przyjrzałaby się przybyszom. Ale że była mizernego wzrostu, niewiele mogłaby wypatrzeć stojąc pomiędzy roslymi

Ofirczykami. Nie martwiło jej to jednak. Odwróciła się plecami do Alei Palmowej i nie żałując łokci przebiła się do jednej z bocznych uliczek.

Kilka chwil później upatrzyła sobie odpowiedni budynek. Czerwony i masywny jak wszystkie domy w Koryncie, ale najwyższy w okolicy, bo pięciopiętrowy. Zwężał się ku górze, a do tego miał szerokie gzymsy i parapety, dla Yisy był więc niczym drabina.

Po dwóch minutach stała już na płaskim dachu, czując na twarzy suchy wiatr wiejący z zachodu. Zanim skupiła uwagę na poselstwie Imperium Tarsziszu, rozejrzała się wokół, podziwiając największe miasto planety. Tak mówili o nim Ofirczycy, ale biorąc pod uwagę ogrom Koryntu, nie widziała powodu ku temu, żeby im nie wierzyć. Yisa nie potrafiła wyobrazić sobie, że można byłoby znaleźć gdzieś większe skupisko ludzi.

Najpierw obróciła się na wschód, ku rozległej dzielnicy portowej. Jej część stanowiła Mała Cydonia, w której żeglarze przybywający zza Złotego Morza spotykali rodaków osiadłych w Ofirze. Potem przeniosła wzrok na niemożliwie wysokie, bo ponad dwustumetrowe Wieżyce, oparte na konstrukcjach pozostawionych przez Pierwszych Ludzi i stanowiące siedziby najpotężniejszych gildii oraz dworu królewskiego. Spojrzała na znacznie niższą, ale jakże majestatyczną kopułę Sanktuarium Terry i na niewiele mniejszą kopułę Starego Bazaru, znajdującą się dużo bliżej. Zerknęła też na karawanseraje pobudowane w południowej części miasta, a w końcu na Wrota Dorsyjskie, najpotężniejszą z miejskich bram, przez którą przejechali tego dnia Tarsziczycy.

Przedstawiciele drapieżnego Imperium byli już naprawdę blisko i ze swojego miejsca na dachu Yisa mogła przyjrzeć im się dokładnie. Na czele jechał siwy mężczyzna w cynobrowym płaszczu, dosiadający gniadego rumaka. Uniesiona wysoko głowa i twarz jakby wykuta z kamienia sprawiały, że nawet gdyby nie nosił na szyi żelaznego łańcucha, nie mogło być wątpliwości, że to właśnie on był legatem Tarsziszu, Głosem Padyszacha.

Posłowi towarzyszyło dziesięciu jeźdźców w czarnych pancerzach i hełmach w kształcie upiornych głów, zwieńczonych cynobrowymi pióropuszcami. Cynobrowe były też ich peleryny, a także pochwy pałaszy tak ciężkich, że tylko najsilniejsi mężczyźni mogliby utrzymać je w jednej ręce.

Tarszyscy wojownicy posiadali również broń znacznie groźniejszą od pałaszy. Słyszała o niej nawet Yisa, kompletnie niezainteresowana sprawami militarnymi. Broń ta, jak się okazało, wyglądała dość niepozornie: ot, drewniane łożysko z długą kolbą, a na nim metalowa skrzynka, z której wystawała wąska rura. Opowiadano jednak, że miotała ona pociski dwa razy dalej niż najcięższa kusza, a strzelać z niej było można dwa razy szybciej niż z łuku.

Jak wszyscy w Koryncie, Yisa wiedziała od dawna, czym skończyła się wojna Tarsziszu z Dorsą. Słyszała o setkach krzyży z jeńcami, wystawionych wzdłuż drogi prowadzącej do Ofiru. Nawet komuś, kto nie miał pojęcia o polityce, łatwo było zgadnąć, z jaką propozycją Głos Padyszacha przybył do ofirskiego monarchy. Kapitulacja albo wojna. A jeśli król wybierze wojnę? – pomyślała. Nie, gdyby chciał stanąć do walki, pewnie wcześniej sprzymierzyłby się z Dorsą... Ale co ja mogę o tym wiedzieć?

Yisa urodziła się w Koryncie i w dzieciństwie, zanim jej rodzice zmarli podczas ostatniej wielkiej epidemii, nasłuchiwała się opowieści o zamorskiej ojczyźnie przodków, wypełnionej bajecznymi pałacami. Choć patrząc na przyplływające stamtąd piękne dżonki o żaglach w kształcie ogromnych wachlarzy odczuwała nie do końca zrozumiałą dumę z bycia Cydonką, nigdy nie ciągnęło jej do tego, aby wsiąść na jeden z tych statków i popłynąć w daleki rejs na drugi brzeg Złotego Morza. Teraz jednak, widząc upiorne hełmy czarno-ochrowych jeźdźców, zaczęła myśleć o tym na poważnie. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu.



Po wędrówce przez czerwony labirynt stromych i wąskich uliczek, wyrastający nad dzielnicą portową niczym amfiteatr, Yisa dotarła pod drzwi znajdujące się na końcu niepozornego zaułka. Na porzewiałym łańcuchu zwiisał tuż ponad nimi porzewiały szyld w kształcie delfina. Któregoś dnia spadnie komuś na głowę, pomyślała.

Pchnęła drzwi i weszła do środka, a jej nozdrza wypełnił zaraz zapach świeżo parzonej kawy. Ciasne i ciemne wnętrze „Żelaznego Delfina” pękało w szwach, nie było ani jednego wolnego stolika. Większość klientów, grających w taroka albo dyskutujących o nielegalnych interesach, Yisa знаła przynajmniej z widzenia. Tutaj nie trafiła się przypadkiem, a nawet jeśli do tego dochodziło, to mało kto miał ochotę na powtórny wizytę.

Skinieniem głowy przywitała stojącego za kontuarem brodatego wielkoluda, przygotowującego kawę w piaskowym podgrzewaczu. Nie podeszła jednak do niego, lecz od razu skierowała się na zaplecze, oddzielone od sali grubą kotarą. Nie zwracając uwagi na dziewczęta zajęte krojeniem rachatlukum, otworzyła klapę w podłodze i po stromych schodach zeszła do zimnej spiżarni. Panująca w niej ciemność nie przeszkodziła Yisie w odnalezieniu szafy skrywającej wejście do tunelu.

Gildia Złodziei, podobnie jak najważniejsze gildie Koryntu, miała swoją siedzibę w miejscu, które pozostało po epoce Pierwszych Ludzi. O ile jednak kupcy, taumaturgowie czy konstruktorzy zajęli sięgające nieba wieże, włamywacze i kieszonkowcy rozgościli się w wydrążonych przed tysiącami cykli tunelach, rozciągających się pod kilkoma dzielnicami i tu i ówdzie połączonych ze znacznie nowszym systemem miejskiej kanalizacji.

Pomaszerowała prosto do kaplicy. Było to trójkątne pomieszczenie, oświetlone zwisającą z sufitu lampą, na środku którego znajdował się posążek Merkurego, patrona handlarzy i złodziei. Nagi bożek w skrzydlatym hełmie stał na skrzynce pełniącej rolę skarboxy, przeznaczonej na dziesięć wpłacaną przez członków gildii.

Yisa ukloniła się bóstwu, a potem przykucnęła przy skrzynce i przez podłużny otwór zaczęła wrzucać do niej niobowe monety. Towarzyszył temu donośny brzdęk. Najwyraźniej nie tylko jej łowy okazały się tego dnia niezwykle owocne.

– No, no. – Usłyszała. – Nieźle ci poszło.

Wrzuciła ostatnią monetę i odwróciła się. Do kaplicy wszedł Petrus, kapłan Merkurego i skarbnik gildii. Wysoki nawet jak na

Ofirczyka, chudy jak tyczka i obwieszony amuletami z różnokolorowych metali. Na jego ramieniu siedział Zeno, złośliwy małpishon w czarnej kamizelce. Najrzęczniejszy kieszonkowiec Koryntu.

– W taki dzień niob sam wpada w ręce – powiedziała Yisa.

– Coś o tym wiem, przed kwadransiem wróciliśmy... ze spaceru po mieście. To był dobry dzień, ale może on zwiastować dni bardzo złe. Szczególnie dla ludzi takich jak my.

– Król przystanie na ultimatum, prawda? I Ofir stanie się prowincją Imperium Tarsziszu...

– To możliwe, ale jeszcze nie przesądzone. Gildie też przecież mają coś do powiedzenia. No, może akurat nie nasza, ale pomyśl o taumaturgach... I o błękitnych kapłankach.

Yisa zmarszczyła brwi.

– Ale co mam o nich pomyśleć?

– To przede wszystkim, że dla ludzi dysponujących ich zdolnościami nie ma w Tarsziszu miejsca. Więc akurat kapłanki i taumaturgowie mogą nakłaniać króla do wojny. O ile tylko uważają, że istnieją szanse na zwycięstwo.

– A istnieją?

Petrus wzruszył ramionami, czemu towarzyszył brzdęk amuletów. Znudzony rozmową Zeno zeskoczył na podłogę i wybiegł z kaplicy. Kapłan nie zwrócił na to uwagi.

– Na pewno od dawna spodziewali się, że do wojny może dojść – powiedział. – Zdziwiłbym się, gdyby nie poczyniono przygotowań.

Yisa nie skomentowała, Petrus mówił więc dalej:

– Aha, Kastor cię szuka.

– Czego ode mnie chce? – Skrzywiła się.

– A jak myślisz? Powiedział mi, że do... specjalnego zadania potrzebuje właśnie ciebie.

– Wiesz, że nie lubię z nim pracować.

Petrus pokiwał głową.

– Wiem. Mało kto lubi. Ale wiem też, że Kastor chce zapłacić ci w złocie.

– Naprawdę tak powiedział?

– Naprawdę. I mówił zupełnie poważnie.

– Cóż... – Yisa przygryzła wargę. – W takim razie mnie przekonalesz, porozmawiam z Kastorem. Gdzie go znaleźć?

– W „Białym Tygrysie”, jak przypuszczam.

– No jasne – westchnęła.



„Biały Tygrys” był największym lupanarem Małej Cydonii i miejscem, w którym Kastor spędzał najwięcej czasu. Czuł się tam jak w domu, wszystkie dziewczęta znał z każdej strony, a burdelmama mówiła do niego „synku” i nie miała problemu z obsługiwaniem go na kredyt. Wiedziała, że Kastor wcześniej czy później ureguluje każdy dług z nawiązką. Choć nie tylko zdaniem Yisy był on mężczyzną nieznośnie zadufanym w sobie, słusznie uchodził też za jednego z najlepszych włamywaczy Koryntu.

Dawno temu porzucił okradanie domów przypadkowych kupców i realizował tylko specjalne zlecenia dla wymagających klientów. Czasem sam, a czasem, gdy zachodziła taka potrzeba, z odpowiednio dobranymi współpracownikami. Yisie zdarzało się należeć do tego grona, bywała bowiem

niezastąpiona. Nie tylko ze względu na wyjątkową zręczność czy całkowity brak lęku wysokości, ale także za sprawą drobnej sylwetki. Po prostu potrafiła wcisnąć się tam, gdzie nie dostałaby się żadna inna dorosła osoba.

Oczywiście w gildii szkolono już kilkuletnie dzieci, sama zaczęła naukę bardzo młodo, wkrótce po śmierci rodziców. I czasami, gdy to właśnie sylwetka odgrywała kluczową rolę, dzieci zabierano na robotę. Kiedy jednak potrzebny był zarówno odpowiedni rozmiar, jak i doświadczenie, wówczas Kastor i inni zwracali się do Yisy.

Ciekawe, gdzie tym razem miałabym się dla niego wcisnąć? – zastanawiała się przemierzając pustoszące ulice. I dlaczego tak od razu, bez żadnych informacji ani targów, mówi o złocie. Mamy wykraść klejnoty z królewskiego skarbcza? Albo relikwie ze świątyni? Na Merkurego, a jeśli naprawdę chodzi o coś w tym rodzaju?!

Kiedy pogrążona w myślach zmierzała ku Małej Cydonii, zza rogu najbliższego skrzyżowania dotarły do niej słowa religijnej pieśni, proszącej Boginię o opiekę nad miastem. Wytrenowanymi głosami wyśpiewywał je kobiecy chór, nie mogło być więc wątpliwości co do tego, że oto nadchodzi procesja kapłanek z Sanktuarium Terry. Yisa miała swoje powody, aby nie zbliżać się do przedstawicielek świątyni, dlatego zatrzymała się w podcieniu zamkniętego sklepu. Niech przejdą.

Nie musiała długo na nie czekać. Po minucie, może dwóch, kapłanki pojawiły się na skrzyżowaniu. Było ich aż dziewięć, wszystkie w błękitnych szatach z obszernymi kapturami i w złoty maskach, odbijających ostatnie promienie zachodzącego słońca. Kapłanka idąca na przedzie ścisnęła w dłoniach drzewce,



zwieńczone świątynnym godłem, również wykonanym ze złota. Przedstawiało ono nagą kobietę o krągłych kształtach, która w jednej ręce trzymała róg obfitości, w drugiej zaś planetę, z której przybyli Pierwsi Ludzie.

Nie był to dzień świąteczny, natknięcie się na procesję stanowiło więc dla Yisy niespodziankę. Szybko jednak doszła do wniosku, że wieczorny przemarsz błękitnych kapłanek musi mieć coś wspólnego z przybyciem do miasta Głosu Padyszacha. Przedstawicielki Sanktuarium Terry chciały najwyraźniej przypomnieć Koryntczykom, że to Bogini Matce, nie zaś Bezimiennemu, winni oddawać cześć.

Petrus miał pewnie rację, kapłanki akurat gotowe były na wojnę z Imperium Tarszisu. Ich nadludzkie moce mogły zresztą stanowić na tej wojnie potężny oręż. Czy potężniejszy jednak od tarszijskiej broni strzeleckiej, opartej na starożytnej technologii?

Kiedy najpierw procesja zniknęła jej z oczu, a potem chóralny śpiew zaczął cichnąć w oddali, Yisa ruszyła się w końcu spod sklepu. Przeszła przez puste skrzyżowanie, a kilka chwil później schodziła już po nierównych, kamiennych stopniach do portowej części miasta, aby w „Białym Tygrysie” porozmawiać z Kastorem o zagadkowym zleceniu.

Była już dość blisko celu, gdy w bocznej alejce brzdęknęła cięciwa ciężkiej kuszy. Bełt wyfrunął z cienia, trafił Yisę w skroń i na wylot przebił czaszkę niczym dojrzałą dynię, a potem wbił się w czerwoną ścianę pobliskiego domu.

Wizja, jak zawsze, pojawiła się w ostatniej chwili. Ale to wystarczyło, aby Yisa zdążyła się pochylić.

Pocisk świsnął jej nad głową.



# ROZDZIAŁ

## DRUGI

Horxis stanął pod drzwiami nieczynnego warsztatu, gdzieś w głębokich czeluściach Dolnego Miasta. Wiedział, że po drugiej stronie znajduje się niob wykradzony przed kilkoma dniami z imperialnego składu. Sądząc po docierających stamtąd odgłosach, lśniące sztabki metalu tak cennego dla arkanistów przekładano właśnie z oznakowanych skrzyń do mniejszych opakowań, aby łatwiej było wynieść je i upłynnić na czarnym rynku. Znaczna część trafiłaby pewnie do fałszerzy monet.

Oprócz herszta szajki, w warsztacie znajdowało się przynajmniej trzech innych złodziei. Procedury nakazywały więc zwrócenie się o pomoc do lokalnych strażników. Nie chodziło o to, że pojedynczy protektor nie poradziłby sobie z czterema czy pięcioma pospolitymi przestępcami. Ale mało prawdopodobne było, aby udało mu się wszystkich wziąć żywcem i doprowadzić

do najbliższej celi. A tylko żywych można było przemienić w jakże przydatne dla Imperium golemy.

Horxis nie powinien jednak pozwalać sobie na stratę czasu. Zarówno niob, jak i złodzieje mogli zniknąć stąd lada moment. Poszukiwania, które stałyby się znacznie trudniejsze, musiałyby właściwie rozpoczynać od nowa. Zastanawiał się nad tym jeszcze przez chwilę, drapiąc się po ogolonej na łyso głowie, aż w końcu podjął ostateczną decyzję.

Jak każdy protektor podczas pracy w terenie, miał przy sobie ciężką buławę, stanowiącą jednocześnie oręż oraz symbol jego funkcji. Eruptora nie zabrał, z dwóch powodów. Po pierwsze, broń ta była niezwykle nieporęczna w wąskich i krętych korytarzach. Po drugie, za bardzo zwracała uwagę, nie dało się jej przecież ukryć pod płaszczem.

Buławę uznał za wystarczającą w zaistniałych okolicznościach. Złodzieje nie stanowili zagrożenia dla kogoś, kto odsłużył pięć cykli jako imperialny katafrakt, walcząc nie tylko z żołnierzami wrogich armii, ale także z odmieńcami czy behemotami. Buława dawała zresztą szansę na to, że ktoś jednak pozostanie żywy po interwencji Horxisa. Może połamany, ale żywy, wciąż więc nadający się do tego, aby oddać go arkanistom.

Póki co, protektor zamachnął się i łupnął stalową głowicą w zamek z porzewiałego żelaza. Ten roztrzaskał się wraz z fragmentem spróchniałych drzwi, które stanęły przed Horxisem otworem. Protektor wkroczył do warsztatu.

Czterech chudych mężczyzn w robotniczych strojach, wytartych i poplamionych, spojrzęło na niego w bezbrzeżnym zdumieniu sponad skrzyń, z których wyładowywali metalowe

sztaby. Szybko się jednak otrząsnęli i sięgnęli po noże. Noże! Horxis spodziewał się przynajmniej młotów albo siekier.

– Odrzućcie ostrza i połóżcie się na podłodze, jeden obok drugiego – powiedział, gdy zaczęli go otaczać. – Jeżeli dacie się powiązać, nie będę zmuszony do połamania wam nóg.

Nie posłuchali poleceń, co nie zaskoczyło Horxisa. Musieli przecież wiedzieć, jaka kara spotyka tych, którzy okradają Padyszacha.

Nie wiedzieli za to, jak skoordynować ataki. Jeden z nich wyrwał się przed szereg. Protektor zszedł złodziejowi z drogi, a mijając go, buławą roztrzaskał mu biodro. Mężczyzna zawył i padł na podłogę, wzniesając obłok kurzu.

Horxis tymczasem znalazł się obok kolejnego złodzieja niobu. Trzasnął go w rękę, wytracając nóż, a potem uderzył na odlew w kolano. Dwoch miał już z głowy, a przy tym obaj wciąż żyli, o czym świadczyły wydawane przez nich jęki.

Trzeci skoczył na protektora, próbując dźgnąć go w plecy. Trafił w ramię, ale ostrze zsunęło się po kolczudze. Horxis obrócił się błyskawicznie i kopnięciem wytrącił napastnika z równowagi. Mężczyzna upadł tak niefortunnie, że nadział się na własny nóż. Jednego golema mniej, trudno.

Przywódcą szajki uciekał już natomiast w kierunku wyjścia. Horxis biegać nie lubił, więc zamachnął się i rzucił buławą.

Dwa golemy mniej.



– Dobra robota, Horxisie – pochwalił naczelnik. – Znowu. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze cykl albo dwa i zajmiesz moje miejsce.

– Jest pan zbyt łaskawy.

– Wiele mi można zarzucić, ale na pewno nie łaskawość – odparł zwierzchnik Horxisa, po czym odprawił podwładnego gestem i skupił całą uwagę na raportach przykrywających biurko. Rozmowa była skończona, protektor opuścił więc gabinet i ruszył w stronę wyjścia z Krypty.

Kiedy przemierzał długi korytarz, z najniższego poziomu siedziby imperialnych protektorów docierały do niego wrzaski i skomlenia przesłuchiwanych czcicieli Wszepochecności. Padyszach rozkazał, aby za wszelką cenę ostatecznie rozprawić się ze szkodliwym kultem. Nie chodziło już tylko o względy religijne, jak nawoływanie do odejścia od kościoła państwowego, co samo w sobie karano w Tarsziszu przemianą w golema. Znacznie większy problem stanowiło to, że wyznawcy kosmicznego bóstwa prowadzili coraz szerzej zakrojoną działalność wywrotową i najwyraźniej szykowali rewolucję, mającą na celu obalenie Padyszacha.

Horxis przeszedł pomiędzy dwoma zakutymi w czerwone pancerze gwardzistami, stojącymi przy wejściu niczym posągi, i pchnął ciężkie drzwi. W twarz dmuchnęło mu ciepłe i suche powietrze, wypełniające wąwóz stanowiący główną arterię Górnego Miasta. Protektor zszedł po szerokich stopniach i ruszył na północ, otoczony tłumem ludzi, spośród których większość zmierzała w tym samym co on kierunku.

Tu i ówdzie dostrzegał golemę, łatwe do rozpoznania za sprawą wytatuowanych głów. Te, które wypuszczano na światło dzienne, o wiele bardziej przypominały zwykłych ludzi niż te, które trzymano w manufakturach i hutach Dolnego Miasta.

Te drugie wyniszczone były pracą ponad ludzkie siły i często okaleczone wypadkami.

Po kilku minutach marszu pomiędzy frontami najważniejszych urzędów imperialnej stolicy Horxis trafił na trójkątny plac, przez który przechodziła właśnie karawana wielbłądów. Na przeciw siebie miał teraz wykuty w stromym zboczu wizerunek władcy Tarszisu: brodatą twarz w kolczastej koronie, wysoką na trzydzieści metrów i spoglądającą z góry na wąwozy Tarsu.

Dwadzieścia metrów pod brodą Padyszacha znajdowały się szeroko otwarte wrota świątyni, do której Horxis wszedł wraz z dziesiątkami innych ludzi, spieszących na codzienne nabożeństwo. Pomaszzerował naprzód, w stronę ogromnego ołtarza. Zanim do niego dotarł, skręcił ku prawej ścianie, gdzie stawał zwykle pod reliefem przedstawiającym przyszłego Padyszacha, wspinającego się na szczyt Niebiańskiej Góry.

W relief wpatrywał się akurat siwowłosy mężczyzna w szarej tunice, charakterystycznej dla urzędników niższego szczebla. Zważywszy jednak na przecinającą jego policzek szramę, w młodości mógł służyć Imperium Tarszisu jako żołnierz. Mógł też być rzezimieszkiem, biegającym z nożem po tunelach Dolnego Miasta. Dostrzegłszy zbliżającego się Horxisa, urzędnik uklonił się z szacunkiem i powiedział:

– To niezwykle, że jedna wyprawa miała tak ogromny wpływ na losy planety.

– Niezwykłe? – Protektor zmarszczył czoło. – Taka była wola Bezimiennego.

– Oczywiście. – Urzędnik gorliwie pokiwał głową. – Oczywiście. Tylko wybraniec naszego Ojca mógł dotrzeć na szczyt

i tylko on mógł przynieść nam stamtąd artefakty i wiedzę Pierwszych Ludzi. Nikt inny.

Horxis również zaczął wpatrywać się w relief. Faktycznie to, co przyszły władca zdobył na Niebiańskiej Górze, umożliwiło zjednoczenie plemion Tarsziszu i przystąpienie do ponownego cywilizowania upadłej planety. Protektor czuł dumę z możliwości uczestnictwa w tym procesie.

Uwiecznione na ścianie wydarzenie miało miejsce przed ponad pięćdziesięcioma cyklami, co oznaczało, że Padyszach był najstarszym z ludzi. Ale przecież wybraniec jedyne prawdziwego Boga nie musiał podlegać tym samym prawom natury, co zwykli śmiertelnicy.

Podczas tych pięćdziesięciu cykli Imperium rozrosło się i sięgnęło już niemal brzegów Złotego Morza. Miał to być jednak dopiero początek. Czy po kolejnych pięćdziesięciu Padyszach zapanuje nad całym Marsem? Horxis żywił przekonanie, że tak to się właśnie potoczy.

– Dzieci Bezimiennego! – donośny głos kapłana odzianego w czerwień poniósł się po wykutej w skale świątyni i odbił od jej ścian, uciszając wszelkie szepty. – Módlcie się do Ojca i wraz ze mną złożcie mu ofiarę!



Horxis szedł wąskim tunelem, oświetlonym kwadratowymi lampami, emitującymi zimne i białe światło, niepokojąco nienaturalne. Nigdy nie widział niczego podobnego, jednak zdawał sobie sprawę, że lampy musiały stanowić pamiątkę po Pierwszych



Ludziach. Słyszał pogłoski, że w taki właśnie sposób oświetlony był podziemny pałac Padyszacha, ale protektor nie znajdował się przecież w pałacu. Gdzie zatem? I jak tutaj trafił? Nie miał pojęcia.

Mimo to maszerował przed siebie z przekonaniem, że przebywa we właściwym miejscu i że zmierza do celu. Czymkolwiek był ten cel. W pewnej chwili usłyszał odgłos kroków, docierający zza zakrętu korytarza. Ktoś się zbliżał. Jedna osoba, stąpająca lekko, lecz w pośpiechu. Zatrzymał się i odruchowo sięgnął po zawieszony u pasa oręż. Tym razem nie była to buława, ale jatagan.

Po kilkunastu sekundach pojawiła się przed Horxisem kobieta, którą w pierwszej chwili protektor wziął za dziecko, była bowiem tak niska i szczupła. Gdy jednak znalazła się blisko jednej z lamp, Horxis dostrzegł jej młodą, lecz dorosłą już twarz o egzotycznych rysach. Kobieta nie trzymała żadnej broni, więc wsunął jatagan do pochwy i zapytał:

– Kim jesteś?

Rozległo się dudnienie, a białe światła zgasły. Horxisa otoczyła ciemność. Zdezorientowany, potrząsnął głową i dłuższą chwilę zajęło mu zorientowanie się, że leży w łóżku, korytarz i dziewczyna tylko mu się przyśniły, a obudziło go energiczne pukanie do drzwi.

Całkowita ciemność była już zupełnie prawdziwa, nawet w Górnym Mieście okna stanowiły luksus, na który mało kto mógł sobie pozwolić. Ale Horxis znał na pamięć każdy centymetr małego mieszkania. Podniósł się więc, a idąc w kierunku drzwi zabrał ze sobą oparty o ścianę jatagan. Ten sam, który mu się przyśnił. Czuł, że ktoś obudził go o wiele zbyt wcześnie.

– Kto tam? – spytał, stając przy drzwiach, pod którymi przesączała się odrobina światła z korytarza.

– To ja, protektorze. Tert. – Horxis usłyszał znajomy głos młodego czeladnika z Krypty.

– O co chodzi? Dlaczego budzisz mnie przed świtem?

– Skąd pan wie, że... – Tert urwał. – Pilna sprawa, proszę mnie wpuścić, nie chcę krzyczeć na korytarzu.

Horxis ziewnął i wpuścił czeladnika do ciemnego przedpokoju. Nie zapalał lampy.

– Słucham – powiedział.

– Nocą dotarła wiadomość, że w Malahu doszło do morderstw.

Malah? Ach, tak. Niewielkie miasto górnicze, oddalone o dzień jazdy konnej od stolicy. Horxis nie był tam od lat, ostatni raz odwiedził je parując jeszcze w ciężkiej zbroi katafrakta.

– W każdym mieście dochodzi do morderstw – odparł, powstrzymując kolejne ziewnięcie. – Nie wszędzie trzeba od razu wysłać protektorów.

– Tak, tak. Oczywiście. Ale to nie były takie zwyczajne morderstwa.